

# DZIEŃ OSZUSTA



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński  
DZIEŃ OSZUSTA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-62-0

Copyright © Ireneusz Iredyński

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

*Motto:*

*Chodzą po świecie zacne ludki  
wampirki z ciałkiem w gabardynie  
najpierw wachają niezabudki  
a potem gracko na nie plują  
i zaraz krzyczą o swej winie*

*Krystyna Ferens*

Leżałem na rzeźbionym, niewygodnym łóżku, zwrócony twarzą do okna i patrzyłem na dobrze znany mi widok: narożnik kamienicy i rozciągnięty na wysokości pierwszego piętra przewód telefoniczny. Zwinięta poduszka ugniatała mi kark, lecz wołałem leżeć w niewygodnej pozycji, niż wstać i rozprostować poduszkę; od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, że w pokoju unosi się zapach popiołu z papierosów, potem wrażenie mijało i znów wpatrywałem się w narożnik kamienicy. Znałem wszystkie wyrwy w tynku; w nocy mogłem je sobie dokładnie wyobrazić. Sięgnąłem po paczkę giewontów, zrobiłem to niezręcznie i papierosy rozsypały się po podłodze. Teraz trzeba wstać, pozbierać papierosy, włożyć je do pudełka i ostatniego zapalić. Wiedziałem, że muszę to zrobić, wyobraźnia podsuwała mi smak tytoniu i dlatego nabrałem jeszcze większej pewności, że wstanę, pozbieram papierosy, a być może otworzę nawet okno; przy okazji poprawię poduszkę. Tak, wstanę i pozbieram papierosy, na pewno wstanę, tylko jeszcze trochę poleżę. Patrzyłem teraz na rozsypane giewonty, przez chwilę wydawało mi się, że układają się jak kreski w chińskich lub japońskich znakach, potem porównanie wydało mi się niezbyt udane, przestałem dostrzegać podobieństwo, widziałem tylko białe pałeczki na zakurzonej podłodze, więc znowu zacząłem obserwować narożnik przeciwległej kamienicy. Przewód telefoniczny poruszył się — widocznie jest wiatr. Odetchnąłem głębiej, poczułem na nowo zapach popiołu tytoniowego. Teraz byłem ostrożniejszy: wciągałem powietrze małymi dawkami.

Ta zwinięta poduszka! Mięśnie karku zdrętwiały. Musiałem się przesunąć. Właściwie to obróciłem się o czterdzieści pięć stopni; ulga była dość znaczna. Naprzeciw siebie miałem ścianę powleczoną warstwą popękanej, kremowej farby. Gdy przechyliłem głowę, mogłem patrzeć na oleodruk z ułanem pojącym konia i na wycięte z jakiegoś tygodnika reprodukcje abstrakcjonistów. Ozdoby te zostawił poprzedni lokator.

Znowu leżysz beczynnie, znowu! Nie wstajesz, mimo że chce ci się palić. Nie wstajesz, chociaż jest ci niewygodnie. Pokój nie posprzątany, wstrętny zapach popiołu nasycił już pościel, a nawet ubrania. Wolisz patrzeć na przeciwległą kamienicę, a właściwie na jej narożnik. Tam nawet nie ma okna. Dziury w tynku są ciągle te same. A mimo to leżysz, usiłując oszukać samego siebie zmianą pozycji, oszukać się przez liczenie kropek pozostawionych przez muchy na czaku ułańskim.

Patrząc na oleodruk zauważyłem, że czako jest nieforemną plamą fioletu. Dzięki temu zdałem sobie sprawę, że jest zmierzch. W szafce miałem pół bochenka chleba, resztki masła i krążek topionego sera. Poczułem czczość. Wyobraziłem sobie, jak będę smarował chleb, jak zaparzę herbatę i czczość ustąpiła. Przymknąłem powieki i zobaczyłem płaszczyznę błyszczącą, jakby była z aluminium, z fosforycznie lśniącymi słupami.

Wiesz dobrze, że słowo „fosforycznie” jest dla ciebie pieszczotą, lubujesz się w nim. Daje ci ono pozory, że jesteś niezależny, że jesteś kimś wybitnym, gdyż masz wyobraźnię, która potrafi zmaterializować to piękne słowo. Dlatego zresztą je tak kochasz... Metalowe płaszczyzny! Czyż wyobrażenie ich nie kryje w sobie tego samego mechanizmu, co „fosforycznie lśniące słupy”? Ty, któryś oglądał mnóstwo komiksów z rysunkami pojazdów

kosmicznych, płaszczyzn pokrytych metalowymi wzniesieniami, podobnymi do kretowisk, jesteś dumny, że potrafisz przenieść owe rekwizyty do wyobrażeń absolutnie niefunkcjonalnych. Cieszy cię to, że wyniki trudu całego pułku rysowników i podpisywaczy wykorzystasz wyłącznie dla siebie. Drżysz... Przełykasz ślinę. Wyobrażasz sobie teraz drzewa z czerwonej, porowatej gąbki. I chcesz zapomnieć, że kilka dni temu byłeś na rysunkowym filmie i patrzyłeś na wesołe zwierzęta, biegające wśród elastycznych drzew o barwie koralu. A może o tym nie pamiętasz?

Dzwonek. Czekałem, aż ktoś otworzy. Niestety, gospodarze wyszli. Przez chwilę byłem nieruchomy, ba! — zeszywniały. Miałem nadzieję, że dzwonek się nie powtórzy. Znowu krótki, ostry dźwięk. Podkurczyłem nogi. Długi terkot. Nie potrafiłem już leżeć. Zeskoczyłem z łóżka. Nim skierowałem się do drzwi, popatrzyłem na ten odrażający, przeładowany starymi meblami pokój i zaświeciłem stojącą lampę.

Jakże jesteś zadowolony, że możesz nazwać pokój „odrażającym”? Ten przymiotnik automatycznie stwarza granicę pomiędzy tobą a otoczeniem. Jeszcze pamiętasz metalowe płaszczyzny z fosforycznymi słupami, a już musisz patrzeć na tę zbieraninę mebli, na zakurzoną podłogę i odrapane drzwi. Zadowolony z siebie idziesz otworzyć. Masz jeszcze dodatkowy powód: zmuszono cię tym dzwonkiem do opuszczenia łóżka przykrytego secesyjną kapą, nie uczyniłeś tego z własnej woli.

Otworzyłem drzwi. Spodziewałem się zobaczyć kogoś ze stałych gości gospodarzy. Idąc przez korytarz przygotowałem sobie odpowiedź na pytanie: „Czy państwo są w domu?” Zobaczyłem jednak Monikę. Odwróciłem się, zostawiając drzwi uchylone. W korytarzu unosił się zapach bigosu i zjełczałego tłuszczu. W pokoju otworzyłem okno. Spostrzegłem Monikę stojącą na progu z tak dobrze znanym mi uśmiechem; jeżeli nie odejdę od okna, Monika powie: „Dlaczego się ze mną nie przywitasz, nie jesteś w humorze?” — i wtedy dopiero ją pocałuję.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI